KONIEC KOŃCÓW, TO DOPIERO POCZĄTEK

Usiadł na piętach pod krzakiem czarnego bzu, z miską pełną wody obok siebie. Gładząc powoli kciukiem po ostrzu wydobytego zza pazuchy noża mruknął z zadowoleniem. Solidna robota. Warto było poświęcić na ostrzenie cały poranek. Oparł dłonie na udach, po czym wziął głęboki oddech, zamykając na moment oczy. Pochylił głowę. Wyrazistsze niż zwykle promienie słońca przebijały się z trudem przez ciężkie powietrze – gdzieś blisko nadciągała burza, może nawet tuż za wzniesieniem. W nabrzmiałej aurze smród czarnego bzu był wręcz nieznośny, wtłaczał w nozdrza ostry zapach kocich szczyn. Można było zwariować. Otworzył oczy – taki miał właśnie zamiar.

Trącił misę z wodą. Brudna breja po obmyciu złożonej właśnie żertwy wsiąkła natychmiast w podłoże. Coś poruszyło się w trawie, ale mężczyzna nawet nie drgnął. Po chwili spod krzaka wypełzły dwie dorodne żmije. Ruszyły ku siedzącej postaci szybko, zdecydowanie, niczym zaalarmowane strażniczki więzienne. Zaintrygowane. Dawno już nikt ich nie wzywał.

Ujął nóż i przeciął sobie żyły na nadgarstkach. W poprzek, nie przybył tu bowiem umierać. Ostrze wysunęło mu się z dłoni na rozgrzaną trawę, krew wyparowała w tym piekielnym upale prawie od razu. Czarne łepki gadów zafalowały przez moment w powietrzu, po czym wystrzeliły łapczywie w kierunku świeżych ran. Czuł, jak ostre kły żmij przeszywają mu mięśnie, ślizgają się po kości. Przeguby zaczęły pulsować od wtłaczanego do krwi jadu, a pod czaszką pojawił się znajomy szum. Czarnoksiężnik był zupełnie zaskoczony, mężczyzna niemal czuł w zakamarkach świadomości jego spanikowany oddech. Uśmiechnął się pod nosem. Gdy otwarły się przed nim wrota Midraju, natychmiast uderzyła go po twarzy orzeźwiająca bryza zaświatów.

- Niósł wilk razy kilka… - mruknął Sajmonella z satysfakcją, wstępując w krainę widm. – Przyszedł czas i na wilka.

ROZDZIAŁ PIERWSZY – TAM, GDZIE ŚWIATŁO DOTRZEĆ NIE ZAMIERZA

Noc zapadła znacznie mroczniej, niż się spodziewał. Pośród cichego poszumu fal można było niemal usłyszeć szmer spadających gwiazd. Ciemność od czasu do czasu rozradowywał taniec pojedynczych świetlików, które jednak szybko znikały za zakrętem nocnego życia lasu. Sylwetka koloru cienia zarysowała się znikąd na tle oświetlonych księżycową poświatą skał, po czym bezszelestnie pokonała dwustumetrowy odcinek oddzielający ją od wcinającego się w jezioro pomostu. Żaden ze śpiących o tej porze ptaków nie uchylił nawet powieki, kiedy mijała kolejne gniazda, susując od drzewa do drzewa, od pnia do pnia. Jej obecność zdradzał tylko szelest powłóczystej, dramatycznie pretensjonalnej szaty, czarniejszej nawet od nocnego nieba.

Przyzwyczajone do mroku źrenice nie odrywały się od tkwiącej na drewnianym pomoście ofiary. Odwrócona plecami do nadciągającego niebezpieczeństwa, zdawała się niepomna na otaczający ją świat, wpatrzona w głaszczące powierzchnię jeziora fale. Cień w pretensjonalnym płaszczu zwolnił, ostatnie metry pokonał powoli, ostrożnie, starając się nie przerwać dobrej passy polowania.

Oddalony o jakieś trzy metry od celu, Godefroy wyszczerzył radośnie kilkucentymetrowe kły. Nie mógł życzyć sobie łatwiejszej kolacji. Przez chwilę obserwował poetycko nieobecną postać, wsłuchiwał się zafascynowany w powolne bicie jej serca. Głód zwyciężył jednak w końcu nad poruszoną lirycznym obrazem duszą wampira. Elektryczny impuls pobudził wszystkie mięśnie ciała i Godefroy runął na swój posiłek niczym sokół na bezbronnego gołębia. Długie, spragnione krwi kły rozwarły się o kilka centymetrów od wąskiej szyi ofiary. W statycznej ciemności nocy dało się słyszeć stłumione sapnięcie. Zdumione źrenice wampira rozszerzyłyby się z bólu i zdumienia, gdyby tylko mogły. Ale nie mogły. Usta niedoszłej kolacji zbliżyły się powoli do spiczastego ucha napastnika.

- Witam – szepnął Sajmonella, po czym szybkim ruchem wyciągnął srebrny sztylet z wątroby wampira. Właściciel pretensjonalnego płaszcza westchnął lekko. I umarł. Nocne fale poniosły bezwładne, opatulone kirem płaszcza ciało w głąb zimnej toni, a jego dusza odeszła pomostem w towarzystwie żercy.

Mężczyzna zapadał się w głębokim śniegu już dziewiątą godzinę. Gdy las nieco się przerzedził, zatrzymał się dla złapania oddechu. Zziajany, spojrzał na niebo ponad ciemną koroną drzew, na którym pojawiła się pierwsza gwiazda. Do szałasu, szumnie zwanego „domem", wciąż był jeszcze kawał drogi. *Trzeba będzie poszukać jakiegoś miejsca na nocleg*.

Wybrnął z kolejnej zaspy na niewielki leśny trakt. *Trakt, kurwa…* , żachnął się w myślach. Przykryta śniegiem ścieżynka, ledwo widoczna spod białego puchu, skręcała swym zarysem na południe, prowadząc żercę do szczątków opustoszałej wioski na brzegu bezimiennego potoku. Kształty chat zlewały się już prawie z mrokiem. Sajmonella rozejrzał się ostrożnie. Rozpadające się budynki, nadgryzione mocno zębem czasu, z trudem dawały radę wyjątkowo nachalnej w tym roku zimie. Kiedyś była tu pewnie osada myśliwych, a może smolarzy lub innych leśnych ludzi. Może rolników, którzy nie zdążyli przed pierwszą zimą. Trudno było orzec, jak mawiali klasycy demagogii. Zmurszałe domostwa przypominały teraz kurhany.

Minął szybko kilka z nich, mimowolnie wypatrując matecznych pogrobowców. Trafił kiedyś na jednego – nikt nie wiedział, czy to czarna magia czy jakieś defekty rozbuchanej ewolucji. Nikt też nie dociekał – ludzie woleli nie wiedzieć, jak bliskie urodzenia dziecko zakopane razem ze zmarłą matką dwa metry pod ziemią wydobywało się z niej na świat. Z matki i spod ziemi. Podobno pożerały swoje rodzicielki, wysysały jakoś życie przez pępowinę, do samego końca. Jak wampiry krew, do sucha. To były jednak tylko karczmiane legendy, nikt nie sprawdzał, nie odkopywał zwłok. W każdym razie nikt normalny. Sajmonella wzdrygnął się, tym razem bardziej z zimna niż obrzydzenia. Obrzucił spojrzeniem przycupniętą w płytkim zagłębieniu terenu chatkę. Z zewnątrz prezentowała się całkiem przyzwoicie jak na ruinę, ale może to wieczorny półmrok skutecznie zacierał ślady. Za nią był już tylko las. Młody żerca chuchnął w dłonie i zdecydowanym ruchem pchnął na wpół otwarte drzwi.

Rozpalone z resztek zwęglonej ławy i zebranego za chatą chrustu ognisko tliło się nieśmiałym płomie-

niem. Sajmonella sięgnął po znalezioną pod stertą brudnych szmat pandari, która jakimś cudem uchowała się z zawieruchy. Instrument, choć lokalnej, niewyszukanej produkcji, nadawał się jeszcze do użycia. Wprawne palce mężczyzny przesunęły się zwinnie po trzech strunach lutni, intonując starożytną pieśń fajterów. Zamruczał pierwszą zwrotkę, której melodia poniosła się w ciemności tak daleko, jak daleko sięgała w tamtych czasach ludzka tęsknota. *Miqvars marto siaruli me, mteli ghamis udzilo var sul mtlad gadareuli. Moi amegham gadmoi chemsas, geikhare da gamakhare…*

Urwał wpół mruczanki i uśmiechnął się do słów piosenki. Na zewnątrz, tknięte nagłym podmuchem wiatru drzewa zawtórowały mu piszczącym utyskiwaniem przemarzniętych pni. Ostatnią zwrotkę zanucił ze ściśniętym gardłem. *Uwielbiam wędrować w samotności, całą długą noc bez zmrużenia oka, jestem absolutnie szalony…* Zacisnął mocniej palce na gryfie. *Zatem przyjdź do mnie tej nocy, uczynisz mnie szczęśliwym, a i sama poczujesz się dobrze…*

Drzewa zapiszczały mocniej, na zewnątrz podniósł się nawet tuman śnieżnego pyłu. Płomień ogniska zasyczał, zabełtał się nerwowo. *Geikhare da gamakhare...*

Śmierć jednak nie przyszła. Przemknęła między drzewami, zerwała kilka igieł, cisnęła nawet przez okno szyszkę do ogniska, lecz w końcu pognała dalej. Były fajter westchnął ciężko i odłożył lutnię. Widocznie dość miała roboty gdzie indziej.

Poranek dnia następnego dźwignął się spod śniegu ledwo, ale jednak się dźwignął. Sajmonella stracił tym samym nadzieję na wylegiwanie się pod słomą do południa. Niebo nadal było szare, monotonnie jednolite. Nie miał ochoty wstawać, ale przymus przeżycia wzywał. Musiał szukać dalej.

Ruszył na południowy wschód, przez skuty lodem potok za ostatnią z chat. Drzewa po tej stronie lasu rosły luźniej, świerkowy bór nie odbierał wiewiórkom światła. Śnieżna cisza była tu jednak równie złowroga, jak ta pomiędzy chatami opustoszałej wioski. Każde chrupnięcie śniegu pod stopami zdawało się rozbrzmiewać amfiteatralnym echem, ogłaszać wszem i wobec jego obecność. Nawoływać.

Sajmonella zatrzymał się na chwilę, pociągając haust świeżego, lodowatego powietrza poranka. Zamknął oczy i uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze rok temu narzekałby na swoje nowe życie. Ciągłe zmiany miejsca, głód, noce nieprzespane ze strachu przed pościgiem – to był wyczerpujący okres. Przepełniony rozżaleniem i nienawiścią złączył się na bagnach Toab z czarnoksiężnikiem o imieniu Metah gordyjskim węzłem zależności. Nie zdawał sobie jeszcze wtedy sprawy z ceny, jaką przyjdzie mu za to zapłacić. Pragnął jedynie zemsty, dyszał pożądaniem niszczącej mocy, władzy, ale kiedy opadł pierwszy emocjonalny kurz, niedoszlifowany wciąż charakter wziął górę nad pochopnym gniewem. Przepełniała go zgryzota wyrzutów sumienia z każdą kolejną żertwą spotkaną po drodze, choć na szczęście nie było ich wiele. Żal nieprzemyślanej decyzji. Bał się jednak czarnoksiężnika, jego moc i obecność były przytłaczające. Nie umiał się od niego uwolnić, nie umiał podówczas nawet o tym myśleć.

Spojrzał w zamyśleniu na białe pustkowie pokryte gęstwiną lasów. Westchnął ciężko w duchu. Nawet, gdyby chciał się uwolnić, nie wiedział na dobrą sprawę, od czego. Wiele słyszał w Gildii o Półmroku, o magach i Midraju. Wszystko to jednak były tylko gdybania, antyczne plotki i teorie spiskowe. Nikt tak naprawdę nie wiedział, czym Midraj był. W wojnie z Półmrokiem nie brano jeńców, nie spodziewano się wykorzystywać półmrocznych mocy, badać tego świata. Wszyscy pragnęli wtedy po prostu zetrzeć Półmrok z powierzchni ziemi tak, aby już nigdy nie powrócił. Zwłaszcza kapłani Wielkiego Gajowniczka.

Prychnął pod nosem. Wielce szanowni kapłani ze świętych gajów, którzy rzadko kroczyli wytyczaną innym ścieżką. Jak jemioła - dar bogów i lek na wszystko, a jednak pasożyt. Wystarczyło dobrze ubrać się w słowa. Ludzie przyjęli ich dawno temu za dobrą monetę, bo nie zabijali jak Półmroczni mistrzowie. Przynajmniej nie fizycznie. Po swojej przygodzie z Wojtasem Redheadem wciąż jakoś nie chciał się do nich przekonać.

Midraj, Midraj… . Pamiętał pierwszą rozmowę ze swoim mistrzem. Niewiele wtedy pojął, nie bardzo rozumiał zawieszony pomiędzy „tu a teoretycznym tam", ezoteryczny świat. Metah zapewne nie mówił mu też wszystkiego. Lepiej było utrzymywać ucznia w ciągłej niepewności tego, co sam naprawdę mógł i w czym dokładnie przebywał. Ile jego myśli słyszał. Podstawy mu jednak wyłuszczył.

Magowie Półmroku praktykowali jeszcze za życia oddzielanie ducha od ciała, wędrówki samej świadomości. Wszystko to, aby przygotować się na ostatnie sekundy przed śmiercią, kiedy tracili ciała. Dzięki tej umiejętności, gdy ich ziemska powłoka umierała, duch nie ulatywał w zaświaty pchnięty ostatnim oddechem. Pozostawał na ziemi, niewidoczny niczym tchnienie wiatru, a jednocześnie równie obecny.

Aby nie błądzić po świecie „bez wyjścia", musieli dać się porwać do Midraju, skąd mogli w pewnym stopniu wpływać na świat materialny. Pojawiać się w myślach, podszeptywać w podświadomości, najlepsi nawet na krótko przejmować kontrolę nad umysłami i ciałami bez zgody właściciela, choć było to energetycznie bardzo wyczerpujące. Miejsce to było dla nich ucieczką przed śmiercią „całkowitą", przed przerażającą perspektywą pustki po ostatnich tchnieniu. Punktem zaczepienia po tej stronie rzeczywistości.

Niematerialne wrota Midraju nie były jednak jakąś formą, którą można by odnaleźć lub otworzyć z zewnątrz. Po swojej fizycznej śmierci, każdy czarnoksiężnik czekał, aż jego dotychczasowy mistrz „wciągnie go do środka", tak jak wsysana była energia dusz ofiar. Sajmonella nadal nie był jednak w stanie pojąć, jak coś niematerialnego może wpływać fizycznie na cokolwiek. Metah zadumał się przez chwilę, po czym przyrównał Midraj do wnętrza błyskawicy. Błysk światła, którego nie sposób dotknąć, podobnie jak słonecznych promieni. Tak jak i one, nie wiadomo skąd się bierze, a przecież gdy uderzy, potrafi nawet zabić. Podobnie jest z bytami Midraju – są jakby we wnętrzu pioruna i piorunem jednocześnie. Naładowane energią, dzięki której istnieją i której upust kontrolują. W obie strony.

A sam Midraj… nie wiadomo. Historia ma się z nim jak z jajkiem i kurą lub pierwszym drzewem w lesie. Niektóre półmroczne legendy mówią, coraz mniej licznymi już głosami czarnoksiężników, że to świat eksperymentalny, powstały przy okazji tworzenia form przez Wielkiego Gajowniczka. Miał być swoistym śmietnikiem, gdzie trafiały po śmierci wszystkie dusze przedludzkich form. Inne historie wskazują, że Wielki Gajowniczek, jeśli istnieje, mógłby przecież zniszczyć te byty, nie potrzebował ich nigdzie upychać. Według nich, przed wiekami był pewien potężny czarownik, który jako pierwszy odkrył jak odłączyć się od ciała i stworzył Midraj. Wojen było wtedy tyle, że o braki energii nie musiał się martwić - bezpańskie zwłoki walały się wszędzie: bitwy, pożoga, głód. Jedyne, co musiał zrobić, to znaleźć sposób na magazynowanie tej energii w jakimś „miejscu". Tak miała powstać pierwsza eteryczna kula energii, utrzymywana w ryzach przez samą siebie zaklęciem. Część energii była z niej pobierana dla tworzenia osłony trzymającej resztę wewnątrz.

Z biegiem czasu, kula powiększała się od kolejnych dostaw, aż zaklęcie puściło i energia wypełniła powietrze. *Zupełnie tak, jak energia wypełnia powietrze przed burzą, gdy staje się ono ciężkie,* ciągnął swą opowieść Metah. Od eksplozji miała powstać przestrzeń zawieszona między światami, niewidzialna ale obecna, zupełnie jak ta, z której biorą się pioruny i od której wieje wiatr. Sajmonella nie był do końca

przekonany, ale i sam czarnoksiężnik wyjątkowo nie naciskał. Półmroczni mistrzowie, inaczej niż kapłani Wielkiego Gajowniczka, byli raczej rzemieślnikami niż filozofami. „Midraj istniał i tyle”, podsumował przy jakiejś późniejszej okazji mag. Wielkiego Gajowniczka też nikt nigdy nie widział, a był. Podobno.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Sajmar, dodano 01.08.2022 20:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.